

Jacek Fisiak

Wspomnienie

Fisiak Jacek Izidor (ur. 10 maja 1936 r. w Konstantynowie Łódzkim – zm. 2 czerwca 2019 r. w Poznaniu) anglista, językoznawca, emerytowany profesor Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, profesor zwyczajny Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Koninie (1988– 1999), profesor zwyczajny Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku (1998–2002), profesor zwyczajny Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi (2006–2009), profesor zwyczajny językoznawstwa angielskiego i dyrektor Instytutu Anglistyki Społecznej Akademii Nauk w Łodzi (Wydział w Warszawie) od 2007...

Kontynuowanie ograniczonego do takich faktów życiorysu zmarłego Profesora musiałoby zająć kilka, jeśli nie kilkanaście stron. Te informacje bez trudu można znaleźć w licznych dostępnych źródłach. Jego zasługi i osiągnięcia, zarówno te zupełnie oczywiste jak i te, które wymagają dokładniejszych analiz i ocen, będą przedmiotem obszernej monografii, którą – należy mieć nadzieję – ktoś kiedyś napisze.

Tymczasem pozostaje smutek i pustka po odejściu Człowieka, który zajmował tak wiele miejsca w życiu tak wielu ludzi i wywarł na nich tak wielki wpływ. Jednak nie mam ani prawa ani woli, aby teraz pisać cokolwiek w czyimś imieniu, ani też kogokolwiek reprezentować. Mogę teraz tylko napisać te kilkanaście zdań pozwalających być może zrozumieć, także i mnie samemu, dlaczego tak bardzo przeżywam Jego odejście. Pisanie w czasie przeszłym o kimś, kogo przez ponad sześćdziesiąt lat znało się, jako przyjaciela i mentora, a kto w życiu był dla nas bliższy niż niejeden członek rodziny, przychodzi z największym trudem. Jednak smutek, jaki temu nieuchronnie towarzyszy, miesza się ze wspomnieniem, że Jacek bywał rzadko smutny, ale jeśli nawet Go smutek dotykał to na zewnątrz przejawiał się raczej jako zniecierpliwienie czy zagniewanie. Zdarzały się wszakże wyjątki. Na przykład, kiedy głośno *placząc* do słuchawki informował mnie o odejściu naszego wspólnego przyjaciela profesora Andrzeja Kopcewicza.

W pociągu wiozącym mnie do Poznania na pogrzeb Jacka, powtarzałem sobie w pamięci mowę, którą miałem wygłosić przy Jego mogile. Kiedy pociąg wjechał w granice miasta, cała ta mowa rozsypała się jak domek z kart. Uświadomiłem sobie bowiem, że oto po raz kolejny

– może setny a może kilkusetny – dojeżdżam do miejsc, w których za każdym razem spotykałem Jacka. Przez te kilkadziesiąt lat powstało we mnie to magiczne skojarzenie: Jacek Fisiak to Poznań, a Poznań to Jacek Fisiak. To niezliczone konferencje, rozmowy, konsultacje, spotkania towarzyskie, biesiady i zupełnie osobiste spotkania pełne wesołości, ploteczek, wspomnień i mniej czy bardziej doniosłych dyskusji na różne tematy. A teraz nagle nieznośna myśl, że *teraz* jest inaczej niż zawsze było. Teraz nic podobnego już się nie stanie. Teraz mam mówić do Jego prochów i będą to już tylko jednostronne wspomnienia.

Gdy piszę te słowa jest już po tych wszystkich ceremoniach, przemówieniach i pożegnaniach. One też już pozostają tylko jako wspomnienia, wśród wielu innych, wraz ze wspomnieniem o tym, jak – jeszcze w Łodzi – przebiegał mój przewód doktorski, a mam zaszczyt być pierwszym z wypromowanych przez Niego ponad sześćdziesięciu doktorów.

Jest jednak też nadzieja, która żywi się tymi wspomnieniami. Oto w jakiś niepojęty sposób twarde i suche fakty mówią nieraz więcej o Nim, o Jego naturze i duszy niż zewnętrzne objawy Jego i moich emocji. Ta nadzieja powoduje, że wspominam garść na pozór drobnych faktów z Jego życia, w szczególny sposób charakteryzujących Jego niezwykłą osobowość. Był tytanem pracy, o czym krążyły legendy już w naszych czasach studenckich. Do Jego często powtarzanych powiedzonek kierowanych do kolegów, współpracowników, podwładnych i studentów należały „Odpoczywać będziesz w trumnie, a teraz do roboty!” i „Better never than late”.

Pewnego lata w połowie lat sześćdziesiątych w towarzystwie bliskich nam osób znaleźliśmy się w Zakopanem zamierzając spędzić tam krótki, bo zaledwie sześciodniowy urlop po dokonanej uprzednio u znajomego gazdy rezerwacji. Pierwszego dnia po przyjeździe, z samego rana Jacek zarządził wysokogórską wycieczkę. Udaliśmy się ochotnie w kierunku Kuźnic, mając nadzieję, że zdobędziemy Kasprowy Wierch korzystając z kolejki linowej i że to zaspokoi taternicze ambicje Jacka. Jednak nie tak miała przebiegać ta eskapada. Okazało się, że do kolejki ustawiła się ogromnie długa kolejka chętnych do zdobycia szczytu, co wykluczało rychłe jego osiągnięcie, ale, co najważniejsze, Jacek uznał, że nie po to przyjechaliśmy w góry, żeby trwonić czas na tkwienie w kolejce do kolejki i zarządził: „Idziemy!” I poszliśmy; on w kamaszach i w garniturze (nie pamiętam, czy także jak zwykle „pod krawatem”), a reszta z nas w jakichś przypadkowych strojach i chyba także niezbyt stosownym obuwiu. Po osiągnięciu Kalatówek mieliśmy już dosyć, ale Jacek nie zamierzał poprzestać na tym wyczynie. Po krótkim odpoczynku poszliśmy dalej i, chociaż brzmi to niewiarygodnie, dotarliśmy aż do Czarnego Stawu Gąsienicowego. Siedziała tam gaździna i sprzedawała czarne jagody. Pokrzepiliśmy się tymi jagodami i dopiero wtedy Jacek

uznał, że jak na pierwszy raz wystarczy i należy wracać, tym bardziej, że o dotarciu na Kasprowy Wierch nie mogło być przecież mowy. Zmęczeni ale dumni wróciliśmy do Zakopanego, aby uczcić taterniczy sukces stosownym góralskim jadłem i napitkiem. Następnego dnia Jacek był bardzo aktywny, wertował jakieś papiery, wreszcie oświadczył, że należy już wracać do domu, bo "ważne sprawy państwowe" wymagają jego bezpośredniej i osobistej interwencji, a do tego potrzebne mu są jakieś dokumenty, których ze sobą nie zabrał. W tych czasach nikomu nie śniły się nawet telefony komórkowe, e-maile, i inne komunikatory, a na międzymiastowe połączenia telefoniczne trzeba było godzinami czekać na najbliższej poczcie. Dlatego łatwo było zrozumieć, że w tej sytuacji natychmiastowe skrócenie urlopu było jedynym możliwym rozwiązaniem, oczywiście jeśli dało się wiarę temu, że owe „sprawy” istotnie mają aż taki ciężar. Jeszcze tego samego dnia wróciliśmy do naszych codziennych obowiązków.

Kilka lat później zdarzyło się, że Jacek musiał spędzić kilkanaście dni w jednym z poznańskich szpitali. Bardzo wtedy cierpiał, lecz nie tyle z powodu choroby co z powodu ograniczeń związanych z unieruchomieniem w warunkach szpitalnych. Jednak zgodnie z zasadą „nie ze mną takie numery” i tym razem okazał swoją niezłomną wolę pracy. Pewnego dnia postanowiłem – zupełnie prywatnie – odwiedzić Go jako złożonego niemocą na łożu bolesti. Zapytana przeze mnie siostra, o to gdzie leży profesor Fisiak, wzrokiem wskazała mi kilkanaście osób tworzących ogonek ustawiony przed drzwiami szpitalnej sali i powiedziała „Tam, gdzie ta kolejka”. Omijając czekających, wtargnąłem do sali i zobaczyłem siedzącego w łóżku Jacka ze stolikiem-nadstawką pokrytym jakimiś papierami i książkami zamiast talerzy z południowym posiłkiem. Najwyraźniej odbywały się właśnie konsultacje i przyjęcia, jakie w tym czasie odbywał zawsze Jacek jako dyrektor instytutu. Mój widok bardzo Go uradował, ale chyba głównie dlatego, że oto znalazł się nagle ktoś, komu można było zlecić kolejne zadanie do wykonania i już po kilku dniach uczestniczyłem w komisji egzaminu magisterskiego, który odbył się w tej samej sali, z Jackiem siedzącym w tym samym łóżku.

Obiegowe prawdy głoszą, że nie ma ludzi niezastąpionych i że nadzieja jest matką głupich. Nie potrafię uznać je za prawdziwe, nie tylko teraz, gdy wspominam Jacka. Przecież każdy człowiek zajmuje jakieś określone, własne i sobie tylko przynależne miejsce w czasie i w przestrzeni, a przede wszystkim w życiu innych ludzi. Staje się częścią każdego, kto ma z nim jakikolwiek kontakt. Zajmuje jeden jedyny obszar w naszej własnej czasoprzestrzeni, którego nikt inny nie jest w stanie zająć, bo nikt inny do tego miejsca nie pasuje. Odchodząc na zawsze, pozostawia się jednak w świadomości, czy jak kto woli, w duszy, niepowtarzalny

ślad i nikt inny nie jest w stanie wypełnić tego samego miejsca. Dlatego w *mojej* pamięci nikt nie może zastąpić tego *mojego* Jacka.

Ludzie wierzą albo nie wierzą w różne rzeczy, Na przykład w to, że śmierć nie jest ostatecznym końcem życia, ale tylko przejściem do jakiejś innej rzeczywistości istniejącej w jakichś innych wymiarach. Takiej *wierze* towarzyszy *nadzieja*, że każdy się kiedyś odnajdzie w tej innej rzeczywistości Ta nadzieja wspiera się na różnych rozumowych przesłankach. Można je wywodzić z matematyki opisującej nie tylko czterowymiarową czasoprzestrzeń ale najrozmaitsze inne wielowymiarowe przestrzenie. Można też krzepić się myślą o rozszerzającym się kosmosie i kontemplować jego trudny do pojęcia nieogarniony ogrom. Można też mieć nadzieję, że gdzieś w nim jest jakieś miejsce o nazwie „Raj dla ateistów” i że tam teraz jest Jacek. Jeśli tak jest istotnie, bez wątpienia potrafi dogadać się nawet z Nieistniejącym, bo żyjąc wśród nas tu na ziemi, potrafił porozumieć się z każdym bez względu na religię, pochodzenie, przekonania, rasę, i inne ziemskie przypadłości. Tak jak potrafił nawiązać przyjazny kontakt z każdym spotkanym człowiekiem a nawet zwierzęciem: od królów, prezydentów i arcybiskupów do żebraków. Chyba wszyscy wiedzieli też o Jego czułym stosunku do kotów. O tym Jego talencie do nawiązywania niezwykłych przyjaźni świadczy fakt, że już po kilku krótkich spotkaniach moja Babcia i moja Mam mówiły o Nim „Jacuś”.

Taki niezwykły dar porozumiewania się jest czymś więcej niż sprawne posługiwanie się słowami w kilku językach, którymi Jacek świetnie władał. Można przecież porozumiewać się bez słów. Takie właśnie jest najpiękniejsze oblicze *miłości*, bez której wędną i *wiara* i *nadzieja*. Anna Kamińska wyraziła to krótko: „Mam ci tak wiele do milczenia, że nie znajduję ani słowa”.

Jacku, pozwól, że Cię ozłocę milczeniem.

Poznań-Warszawa w czerwcu 2019.

Tomasz Paweł Krzeszowski